Nr. 124.

Dodatek do „Gazety Narodowej"

z dnia 3. Maja 1896.

Z francuskiego obozu masonów.

Lwów d. 2. maja.

Z góry było pewnem, cośmy też podnosili, że zachwianie a następnie upadek gabinetu Bourgeois dosadnie się odbije na masonach. Kiedy ten gabinet dorwał się steru spraw Francyi, masoni wszem wobec obwołali tryumfalnie, że to gabinet masonów. Nie było gabinetu republikańskiego, w którymby masoni nie mieli swoich członków i jakie były te gabinety, umiarkowane, koncentracyjne, radykalne, wszystkie one działały w duchu masońskim bodaj z obawy przed ich wpływami. Ale dopiero radykalno-socyalistyczny gabinet Bourgeois był całkiem po ich myśli, jakoż członkowie jego już jawnie w przemowach swoich na zgromadzeniach publicznych występowali jako zacięci wyznawcy masonizmu. Najwięcej dawały do myślenia występy takie ministra handlu Mesuriera, który jest zagorzałym socyalistą, a obóz masoński utworzony został i rozmógł się właśnie przez ludzi, których interesa są wręcz przeciwne interesom socyalistów, tj. przez burżoazyę.

Paryski *Matin*, dokładnie obznajomiony z tem, co się dzieje we francuskim obozie masonów, daje następujący opis ich położenia:

„W lożach masońskich panuje wielkie poruszenie, rozirytowanie. Minister rolnictwa Viger miał d. 19. kwietnia przemawiać w loży w Puteaux jako w masońskie święto zrównania dnia z nocą, ale go powstrzymał Bourgeois, ponieważ już mowa, jaką przy podobnej sposobności miał minister kolonij Guieysse, niemiłą wywołała senzacyę. Zapytywani przez Bourgoisa naczelnicy lóż, potwierdzili, że manifestacye lóż na rzecz gabinetu Bourgois złe wrażenie w opinii wywołały. Więc też Wielka loża poleciła lożom, aby się podczas podróży Faura do Bretanii naprzód nie wypychały i aby całkiem cicho się zachowywały."

W lożach panuje obecnie wielka niejedność. Młodzi masoni są to po największej części socyaliści i przybywa ich coraz więcej. Jeżeli przywódcy nie zarządzą co należy, socyaliści corychle wielkie loże wraz z filialnemi zamienią w wielki klub rewolucyjny. Miewają oni mowy niebezpieczne, przeciw czemu rada masońska wystąpić się nie waży. W pewnej loży departamentu du Nord przemawiał deputowany Rouanet o związku socyalizmu z masonizmem i powiedział między innemi: „Jeżeli masonizm dalej myśli przeprowadzać swoje zadanie, to musi stać się socyalistycznym. Masonizm skasował Boga i opróżnił niebo — ale jeżeli niebo jest już próżne, to ziemia jeszcze nie jest naszą. Precz z Bogiem i panem! oto odtąd hasło masonizmu."

Wszelako — powiada *Matin* — jeśli masonizm ma się utrzymać przy swoim wpływie, to musi zachowywać spokój i nie wystawiać się jawnie na światło dzienne. Wielka loża i siebie i republikę narazi na zaprzepaszczenie, jeżeli polityką Francyi kierować zechce. Przykład Belgii powinien nam posłużyć za naukę. Wielka loża brukselska, zapisawszy się liberalizmowi, zaprzepaściła liberalizm belgijski. Dla republiki francuskiej byłaby walka między masonizmem a katolicyzmem arcyniebezpieczną. Pomagalibyśmy właśnie klerykałom, podgotowali im zwycięstwo, gdybyśmy taki podział stronnictw dopuścili. Czyż to nie było niezręcznością przedstawiać Bourgeoisa i innych ministrów jako gabinet zależny od wielkiej loży? Gdy więc gabinet runął, zawołano stąd i zowąd: To cios dla masonizmu! We Włoszech upadek Crispiego, którego masonizm jako swego chorążego przedstawiał, zadał ciężki cios wielkiej loży rzymskiej.

Naszem prawidłem będzie nadal, z żadną ze stojących u steru osób nie utrzymywać stosunków publicznych. Jesteśmy towarzystwem tajnem, więc też tylko tajne stosunki powinniśmy utrzymywać. Masonizm może wiele dokazać bez wrzawy. Zaprowadzenie świeckiej szkoły przymusowej, dopuszczenie rozwodów itp. jest dziełem lóż. Kwestya podatku dochodowego jeszcze nie była całkowicie opracowaną, a oto wniósł ją Doumer (minister skarbu w gabinecie Bourgeois).

Kiedy Bourgeois objął ster rządów, uznała Wielka loża włoska tę chwilę za sposobną do zbliżenia obu krajów. Tajne rokowania nie doprowadziły do celu, jednakowoż bodaj małą satysfakcyę sprowadziły: Lefebvre de Behaine (ambasador francuski przy Watykanie) został odwołany. Dla świata masońskiego wrogiem jest papież. Zniszczywszy władzę jego świecką, chcą teraz masoni uprzątnąć także władzę jego duchowną; pożądane dla nich wszystko, co wpływ tej władzy paraliżuje. Dlatego chcą zwinięcia ambasady przy Watykanie; a do tego potrzeba ambasadora, któryby nie był szczerym katolikiem — i do tego nadawał się Poubelle. Ale dobrze informowany Leon XIII. zmiarkował niebezpieczeństwo i objawił swój wstręt do Poubelle'a.

Bądź co bądź jednak — kończy *Matin* — jest masonizm instytucyą, z którą rządy i wyznania religijne liczyć się muszą. Zwalczając klerykalizm może on wielkie oddać przysługi — i to trudne zadanie może wystarczyć jego ambicyi. Zamieniając się atoli w rodzaj komitetu wyborczego i stając się orędownikiem sprawy pewnych osób, oddala się od swego najbliższego zadania i może upadek sobie gotuje".

Artykuł *Matina* tłumaczy nam wiele ciemnych dotychczas wypadków z ostatnich czasów.

Wieczny pamflecista.

Henryk Rochefort, o którego pierwszym tomie pamiętników wspomnieliśmy niedawno, puścił obecnie w świat drugi tom ciekawych swoich zapisków. Stary ten pamflecista, typ wyzyskany znakomicie przez jednego z największych francuskich pisarzy do nowelki, przedstawiającej człowieka zawsze każdemu rządowi wrogiego, czy to będzie monarchia czy socyalizm, zaczyna w drugim tomie dzieje swego życia od pobytu w Belgii. Przebywał on tam w gościnnym domu poety Wiktora Hugo, o którym podaje kilka ciekawych szczegółów.

I tak autor „Nędzników" a współwygnaniec Rocheforta, śniadał, obiadował i wieczerzał w domu zawsze tylko pod warunkiem, że jedno nakrycie zostawało niezajęte. Przed nim stawiano fotel dla niewidzialnego gościa. Nie było to jednak nakrycie, przeznaczone dla panów Zagórskich i Zaleskich, jak dawniej w naszych domach szlacheckich, jeno dla duchów. Hugo utrzymywał najpoważniej w świecie, że każdym razem, gdy rodzina jego gromadzi się u stołu, zjawia się w jej kole któryś ze zmarłych przodków i pospołu z żyjącymi potomkami spożywa dary Boże. Napoleoński wygnaniec zajmował się też obok poezyi stolarstwem. Rzeźbił nietylko wiersze ale i stoły, krzesła i kredensy i to jedne i drugie bardzo pięknie. Niektóre pokoje jego mieszkania miały urządzenie wyłącznie własnej jego roboty, a nie były wcale urządzone byle jako. To też zbieracze osobliwości przepłacając dziś sprzęty z „marką" Hugo płacą nietylko za osobliwość, ale i za dobroć towaru.

Rochefort wydawał tedy swoją „Latarnię" w Belgii i zaraz w początkach wygnania napytał się jej artykułami pojedynku. Sprawa, która była powodem do tej afery jest sama dla siebie też ciekawą, bo pozwala śledzić początku dzisiejszego upadku francuskiej moralności politycznej już za trzeciego cesarstwa. Rzecz tak się miała:

Syn ministra Baroche'a ubiegał się o mandat poselski. Tymczasem nie podobał się on koledze swego ojca ministrowi Persigny'emu tak dalece, że ten publicznymi plakatami wzywał wyborców, aby się strzegli oddawać głos na ministeryalnego kandydata. Rochefort naturalnie skorzystał w całej pełni z tak doskonałego skandalu, a skorzystał w tak ostrych słowach, że kandydat Baroche wyzwał go na pojedynek. Stary rębacz pojedynkowy wyszedł z rozprawy cało, ale Baroche dostał lekką pamiątkę, aby się nie wdawał w zaczepki z ludźmi, którzy na walce słownej i rapierowej zęby zjedli.

Z pojedynkiem poszło staremu pamfleciście dosyć gładko, trudniej było dać sobie rady z „Latarnią". Wedle prawa mógł ją wprawdzie wydawać Rochefort i nadal w Paryżu, ale stary Baroche, mszcząc się rany syna, wymógł to na paryskich księgarzach, że się żaden wydawnictwa jej nie podjął. Zdecydował się ją tedy drukować dwa razy w tygodniu w Brukseli sam Rochefort.

Zrodziła się jednak nowa trudność. Rząd belgijski, jakkolwiek przeciw republikańskiemu pismu mógłby mieć powody do wystąpienia, ale ze względu na to, że gazeta przeznaczoną była głównie dla Francyi, byłby patrzał na wszystko przez palce, gdyby nie dyplomacya. Belgia, położona pod bokiem potężnej wówczas Francyi, chcąc nie chcąc musiała z kurtoazyi dla sąsiada czynić niektóre ustępstwa przynajmniej formalne. Toteż zażądała od Rocheforta, aby swego dziennika nie datował z żadnego miejsca belgijskiego, jeno z Holandyi albo Niemiec. Rochefort zastosował się do tego życzenia, najął w Akwizgranie pokój za 25 fr. miesięcznie, przybił na drzwiach tablicę z nazwiskiem redakcyi — i „Latarnię" można już było spokojnie pisać i drukować w Brukseli.

Chodziło teraz o to, w jaki sposób dwa razy na tydzień dostarczyć francuskim czytelnikom rewolucyjnej gazetki. I tu okazał Rochefort wielki zmysł wynalazczy. Coraz to nowe sposoby wynajdywał dla oszukania francuskiego rządu. I tak: zaraz z początku przekonano się, że poczta francuska konfiskuje numery gazety, przesyłane pod opaską. Drukowano więc „Latarnię" w dwóch wydaniach — jedno zwykłe dla Belgii, drugie na możliwie najcieńszym papierze i najdrobniejszym drukiem. Wkładano takie egzemplarze w koperty i jako listy wysyłano do Francyi. Policya paryska rychło zwietrzyła podstęp i skofiskowała całą przesyłkę z jednego dnia. Trzeba było radzić na to. Odtąd posyłano z całym nakładem numeru zaufanego człowieka do najbliższego miasteczka powiatowego na terytoryum francuskiem i tam wrzucano listy z gazetami do skrzynek. Uchodziło to czas jakiś, aż nakoniec miejscowa policya przecież zadziwiła się razu jednego zbyt wielką ilością listów nadawanych w małej mieścinie i to regularnie dwa razy w tygodniu.

Otwarto jeden list, a gdy się przekonano, że zawiera zakazaną gazetę, skonfiskowano wszystkie. Znowu trzeba było myśleć o nowym sposobie. Teraz uproszono pewnego dyplomatę, czyniącego bardzo częste wycieczki z Brukseli do Paryża i z powrotem, aby nie zaglądał do swojej walizy podczas podróży. Służba owego pana zanosiła w pewne dni walizę do redakcyi „Latarni" tam wypełniano ją kopertami z gazetą środku, i „dyplomatyczna" waliza, korzystając z przywileju ambasadorskiego, przybywała do Paryża niebadana przez granicznych celników francuskich. W Paryżu zawartość walizy wrzucał służący do skrzynek pocztowych i policya znowu na jakiś czas była spokojną, nie widując niebezpiecznej gazetki. Czegóż jednak policya nie odkryje? Odkryła więc i ten podstęp. Wówczas wynaleziono u pewnego handlarza obrazów wielkie i grube ramy, wewnątrz puste. Ramy te z „Latarnią" wewnątrz wędrowały mnóstwo razy z Brukseli do Paryża i napowrót, póki rząd francuski i tego nie podpatrzył.

Pewnego razu spostrzegł Rochefort na ulicach Brukseli Włocha obnoszącego gipsową statuę Napoleona III., wewnątrz pustą. Natychmiast zrodziła się w jego umyśle genialna myśl. Zamówił większą ilość statuetek i używał ich za posłańców swojej gazety. Tak więc ten sam, przeciw któremu walczył, wyręczał go w robocie, ku niemałej uciesze wszystkich zwolenników przewrotu. Razu jednego jednak, ktoś nieostrożny przypadkiem na komorze celnej stłukł figurkę, wysypały się z niej gazetki i cały podstęp się wykrył.

Na liście prenumeratorów „Latarni" znajdowały się nazwiska tak dziwne, że adresowane do nich gazety odnosiła na pocztę sama matka dzieci Rochefort'a, niemając odwagi powierzać takiej przesyłki najętemu słudze.

Nakoniec jednak i najgwałtowniejsze ataki bez żadnego rezultatu znudzić muszą. Znudziła też Francuzów Latarnia. Wtem rozpisano wybory do parlamentu. Rochefort zdecydował się ubiegać się o mandat i wrócił do kraju, mimo niezniesionej kondemnaty. Nie pozbawiono go wolności, jeno, co z natury rzeczy wynika — uczyniono wszystko, aby tylko nie dopuścić go do krzesła w parlamencie. Rochefort twierdzi, że znalazł w Tuilerjach piśmienne dokumenty, iż Villemessant z Figara dostał 250.000 franków za zwalczanie jego kandydatury. Nic nie pomogło, Paryż wybrał go do parlamentu znaczną większością i dał tym sposobem — jak się wyraziła cesarzowa Eugenja — policzek panującemu. Na spółkę ze starym rewolucyonistą Raspail'em wniósł Rochefort, aby we Francyi znieść system branki do wojska i zastępywanie się w służbie wojskowej za pieniądze, a zaprowadzić powszechny równy dla wszystkich obowiązek trzyletniej służby wojskowej. Wówczas taki projekt przyjęty został śmiechem przez rząd, dwór, parlament. Kiedy zaś Rochefort dowiedział się o pewnem *bon-mot* zrobionem na tworze na temat jego projektu, w następnym zaraz numerze „Marsyljanki" nowego przez się założonego pisma, uderzył tem gwałtowniej na osobę cesarza. Jeżeli jestem śmiesznym — pisał — to jestem nim w stopniu o wiele mniejszym, niż pewne idywidyum, które chodziło po Bulońskim lasku z orłem na ramieniu, a z kawałkiem słoniny zamiast głowy pod kapeluszem...

Zresztą Rochefort nie żył na dobrej stopie ani w zgodzie z nikim. W świecie politycznym kłócił się z każdym. Tak samo też poróżnił się z Gambettą, którego gwiazda już wówczas zaczynała wschodzić.

Smutna historya zatrzelenia dziennikarza Wiktora Noir'a przez księcia Piotra Napoleona dała Rochefort'owi temat do najgwałtowniejszych osobistych wycieczek przeciw rodzinie cesarskiej. Wylał w artykułach tyle żółci, tak bogatego używał słownika obelg i tak ostrych używał zwrotów, że zdziwił nawet najwytrwalszych czytelników Marsylianki. Wyraz „bandyta" w zastosowaniu do Napoleona III. jest jeszcze stosunkowo najłagodniejszym z tych, jakich używał. Rząd musiał coś z nim zrobić, zrobił też t. j. zamknął go wraz z wszystkimi członkami redakcyi do więzienia. Upadek cesarstwa zastał jeszcze Rochefort'a i jego przyjaciół w kozie.

Jednym z najpierwszych czynów rewolucyi wrześniowej było uwolnie-

Z najświeższych wydanictw.

Jan Bryl: „O katedrze na Wawelu, jej arcydziełach i pamiątkach"... 8vo str. 207, Kraków 1896. W obec ogólnego zainteresowania się całego społeczeństwa, sprawa odnowienia katedry krakowskiej i przytykającego do niej zamku polskich królów, w chwili, gdy z kraju całego płyną na ten zbożny cel hojne datki, nie mógł się istotnie lepiej przysłużyć p. Bryl ojczyźnie jak wpadając na szczęśliwą myśl popularnego wydania gruntownych i na najnowszych badaniach historycznych opartych opowiadań o tej katedrze na Wawelu. Jest to czyn iście obywatelski, bo ułatwi najszerszym warstwom narodu poznajomienie się z tą skarbnicą dziejowych pamiątek, czyn godny uznania i pochwały. Jeżeli zaś dodamy, iż rzecz swą autor umiał opracować nietylko ze znajomością przedmiotu, ale nadto wlał w to opowiadanie dużo ciepła i tego rzadkiego pietyzmu, który umie uszanować co cenne i święte, to wówczas musimy przyznać, że i literaturze naszej przybyło dziełko rozmiarami może skromne, ale treścią wyjątkowo wartościowe i pożyteczne. Dla tych właśnie wybitnych zalet, pragnąc dać poznać książeczkę p. Bryla czytelnikom naszym, podamy krótko jej zajmującą treść.

Najsłuszniej we wstępie zaznacza autor, że katedra krakowska najmilsze dla polskiego serca zawiera pamiątki. W niej bowiem leżą kości naszych Świętych Patronów począwszy od św. męczennika Stanisława, ojca naszych świętych, a naszej cywilizacyi założyciela — tu też obok Patronów swoich spoczywają biskupi nasi, królowie i hetmani i wielcy w narodzie, tu mury odwieczne katedry świadkami były pochwalnych hymnów po otrzymanych zwycięstwach... Kraków z Wawelem, jak słusznie powiedział ks. Antoniewicz, „jest wspomnieniem i nadzieją naszą!"

„Po tym grodzie święci Pańscy
W łasce Bożej tu chadzali,
A rycerscy i kapłańscy
Namaszczenie swoje brali.
Tu dźwignęty ręką starca
Pierwszy kościół razem z wiarą;
I najstarsza tutaj szkoła
Do bojaźni Bożej woła!..."

Otóż poznać te piękne i ciekawe dzieje, umieć ze znajomością rzeczy patrzeć na te wspaniałe ołtarze, grobowce i pomniki powinien każdy, komu ta przeszłość nasza obojętną nie jest. Poczyna zatem p. Bryl opowiadać nam o pierwotnych początkach katedry, o jej rozkładzie i kształcie. Potrąca o dawne podania i wyjaśniając je tłumaczy czytelnikowi, gdzie najpewniej pierwszy kościół katedralny stał (na Skałce), a komu dopiero obecna świątynia zawdzięcza swój początek i wzrost. Opisuje następnie wyczerpująco trumnę św. Stanisława, ołtarze, kaplice i grobowce, a z każdego szczegółu, jakich sporo tu zebrano, poznać wielką znajomość odnośnych dziejów, i niezwykłą, ognistą miłość dla tej pobożnej spuścizny przodków. Tym sposobem takiej książki lektura spełnia podwójne zadanie, uczy bowiem i świętem uczuciem zarazem przejmuje serce dla tych pamiątek.

Groby królewskie mają w książce swój osobny opis w V rozdziale. Kto w życiu swem po raz pierwszy zstępywał do tej podziemnej krypty, chowającej w swej grobowej ciszy bohaterów naszych kości, doznał pewno uczucia, którego wspomnienie na długo wyryło się w duszy... Podobnego wrażenia doznaje i dziś czytelnik, przerzucając te karty drżące jeszcze tem uczuciem czci dla prochów i kości polskich królów.

Ostatni rozdział poświęcony jest opisowi skarbca i tych nabytków, jakie wieków pobożność w nich zgromadziła a co przed powodzią klęsk i grabieży dotąd szczęśliwie ocalało. Mniej lub więcej cenne wszystkie te pamiątki świadczą i o dawnej wierze, zamożności i chwale ojczyzny i w serce lepszą wlewają otuchę. Taką właśnie nadzieję budzi i autor w czytelniku opisem włóczni św. Maurycego, którym zamyka całość o katedrze na Wawelu.

Że myśl podniesiona przez ludzi inicyatywy urzeczywistni się wkrótce i przy Bożej pomocy ujrzymy katedrę odnowioną w całym blasku należnej jej okazałości, o tem sądzić nam wolno z tego, co koło niej i dla niej dotąd zrobiono i zebrano.

Że może niedługo i dawna królów naszych siedziba, starożytny zamek doczeka się lepszego przeznaczenia i odpowiedniej restauracyi, spodziewamy się również po ofiarności krakowskiej Kasy oszczędności, jeśli za jej przykładem pójdą ludzie dobrej woli. Wonczas i książka, o której mówimy, zyska na wartości, jaką już dziś ma, a budząc w sercach miłość i znajomość dla świętych narodu pamiątek, najlepszą takim owocem nagrodą będzie autorowi, który ani nakładu ani trudu nie skąpił, by się tych owoców doczekać.

O zewnętrznej formie dziełka powiemy, iż jest staranną i gustowną. Rycin wiele i dobrze wykonanych a kilka mało nawet znanych zdobi całość, którą wszystkim jak najlepiej polecamy.

* * *

Iwan Wasow: „Pod jarzmem tureckiem" powieść osnuta na tle walki Bułgarów z Turkami w roku 1876, przełożyła z bułgarskiego Helena Sopodźkowa. Tomów dwa. Kraków 1896. Jest to bardzo ciekawa książka, która tem więcej zyskuje na ogólnem zajęciu, o ile zajmuje się opisem życia narodu nam pobratymczego, a tak mało znanego ze swych zwyczajów i szczegółów wewnętrznego ustroju. Świat to dla nas przeważnie nowy i nieznany, społeczeństwo o odrębnych, narodowych cechach, ludzie pełni ognia, świeżości, niezepsuci jeszcze zupełnie cywilizacyą Zachodu. Ze losy takie i dzieje, opowiedziane z talentem, budzą uwagę czytelnika, tego dowód najlepszy, iż ta powieść autora nie wiele dotąd znanego spotkała się w Anglii z niepośledniem uznaniem.

Autor na treść powieści obrał chwilę nadzwyczaj charakterystyczną, bo właśnie ostatnią dobę poprzedzającą oswobodzenie Bułgaryi. Tym sposobem w wątek całości wchodzą i sceny bolesne cierpień i niedoli narodowej pod jarzmem tureckiem i pierwsze zawiązki przyszłej walki o niepodległość. Są to przeważnie opowiadania zdarzeń, których Wazow albo naocznym był świadkiem albo sam w nich czynny brał udział, stąd rzecz cała nabiera na wartości i znaczeniu, bo staje się już nie prostą powieścią ale pewnego rodzaju pamiętnikiem i historycznym dokumentem. Opowiadanie płynie żywo i barwnie urozmaicone licznemi dygresyami z życia i obyczajów krajowych. Illustracye liczne a charakterystyczne dostrajają się dobrze do tej pięknej całości i stanowią prawdziwą ozdobę książki.

Przekład sam staranny jest i poprawny — jedno może tylko byłoby ułatwiło szybsze zrozumienie tekstu, gdyby p. Sopodźkowa była objaśnienia przytaczanych często obcych wyrazów i zdań pomieściła u dołu każdej stronicy. W obecnej bowiem formie za każdem objaśnieniem trzeba sięgać po drugi tom i na jego końcu dopiero po mozolnem szukaniu znajdujemy klucz zagadki. Wygodnem to pewno przy czytaniu nie jest, zwłaszcza gdy tych odsyłaczów zbierze się spora cyfra. Tę niedogodność należałoby stanowczo przy ponownem wydaniu usunąć.

* * *

Bolesław Prus: „Grzechy dzieciństwa, z ilustracyami A. Kędzierskiego, Warszawa, 1896. Wydaniem „Dusz w odlocie" Gawalewicza pierwsza u nas, o ile wiemy, rozpoczęła księgarnia Gebethnera i Wolffa gustowne wydawnictwo miniaturowe na wzór francuskich. Do puszczonych już w świat tej formy publikacyi przybywa dziś nowa: „Grzechy dzieciństwa" autora głośnego i chętnie u nas widzianego. Wszystkie zalety nie mniej jak i wady dawniejsze pióra p. Prusa-Głowackiego, odbijają się i w tej nowelce. Do zalet rzadkich i wybitnego talentu pisarskiego należy ten wysoce i delikatnie wykształcony zmysł obserwacyi. Autor umie się dopatrzeć w tak mało mówiącem życiu, jakiem jest życie chłopaka dwunastoletniego — tyle rozmaitości, iż z jego reminiscencyi i przygód wyrosła spora książeczka o 175 stronach. A w te przygody dziecinnych lat umie nadto tyle wlać uczucia i humoru, iż te rzeczy przejmują i grozą i śmiechem niewinnym. Do takich pewno zaliczymy epizod z garbuskiem Józiem i owe niekończące się przygody dziecinnych psot i figlów.

Jest jednak i coś w tem fałszywego, co psuje harmonię całości. Prawda, że życie takiem w istocie jest, ale można bez uszczerbku dla książeczek było śmiało opuścić historyę Walka albo przynajmniej jego genealogię i te płaskie dowcipy parobków. Wspomnienia lat dziecinnych mają w sobie coś rajskiego i niepowszedniego — nie wypadało więc ich zamącać dygresyami wątpliwej wartości, tem więcej, że książeczka pewno dostanie się w ręce młodszej rzeszy czytelników.

* * *

Ignacy Matuszewski: „Czarnoksięstwo i medyumizm", studyum porównawcze, 8-vo str. 267. Założenie autora jest godnem uwagi spostrzeżeniem zrobionem na społeczeństwie dzisiejszem, które nietylko że z każdym rokiem więcej zajmuje się medyumizmem, spirytyzmem, ale po prostu szuka czegoś, coby mu zastąpiło wiarę, której się ono nieopatrznie pozbywa. Tem tylko wytłómaczyć się da to wszystko, co nam prawią o tym kulcie szatana, o eksperymentach z duchami i o innych objawach dawnej magii. Fakt zjawisk niezwykłych, przechodzących znane siły przyrody w tej dziedzinie już dawno stwierdzony został i zbyt byłby naiwnym, ktoby wszystko chciał tylko za zabawkę i sztuczki uważać. Chodzi teraz o zbadanie przyczyn tych zjawisk.

Autor przez porównanie objawów obecnych z tem, co się zdarzało dawniej, sam nam otwiera drogę do poznania prawdy. Niestety, nie chce uznać wpływu pozaświatowego, siły innej, która brać może udział w wywoływaniu zjawisk tej kategoryi — i pozostawia na końcu rzecz nie rozwiązaną, bez odpowiedzi. Co więcej, nieraz w rozumowaniu swem posuwa się za daleko i zdaje się odrzucać wszelki porządek nadprzyrodzony, możliwość cudów i rzeczy niezwyczajnych, w których niezbicie działa już nie przyroda i jej siły ale świat inny. Czy w tem jest autor logicznym, nie wiem — ale zdaje mi się, że jeżeli nie dowiódł niczego na korzyść swej teoryi, niewolno mu odrzucać tego, w czem nie widzimy sprzeczności i za czem nie tylko wiara ale i zdrowy rozum przemawia. Stanowisko filozoficzno-naukowe, jakie zajmuje p. Matuszewski, wydaje się zbyt jednostronnem, poważny filozof nie rozpoczyna negacyą, ale szuka pewnych podstaw. Jeśli takowe istnieją już, nie obala ich i nie odrzuca z góry, ale stara się ich wytrzymałość i pewność zbadać i na takim gruncie buduje dalej.

Że medyumizm pod względem naukowym jeszcze wiele wymaga wyjaśnień, to rzecz pewna — ale drogą p. Matuszewskiego nikt do prawdy nie dojdzie. Zaletą chyba jego książki jest, iż zebrał te różnolite wśród wieków objawy medyumizmu i ugrupował, przedstawiając tem porównaniem faktów ich wspólne tło. Że praca to była żmudna, każdy, kto chociaż karty tej publikacyi przerzuci, przyznać to musi i nie odmówi, autorowi znajomości odnośnej literatury i skrzętności mrówczej. Życzymy mu jednak, by nie ustawał na tej drodze, ale by zarazem w badaniach swoich mniej był sceptykiem, a więcej wierzącym katolikiem. Wiele jest tajemnic i prawd niedościgłych rozumowi ludzkiemu, a ileż z nich zbliżyła nam i objaśniła wiara — poddajmy się tylko jej kierownictwu, a ona nas wyswobodzi.

B.

nie starego pamflecisty z więzienia, z którego wszedł prosto na trybunę wodza ludu i Francyi. Obrano go natychmiast członkiem rządu obrony narodowej.

Rochefort wspomina w swoich pamiętnikach, że najmilszem dlań wspomnieniem z czasów piastowania władzy, jest pamięć pomocy, jakiej udzielił swemu przyjacielowi politycznemu Flourens'owi. Ten ostatni umknął do Szwajcaryi przed wyrokiem politycznym. Po trzech tygodniach zatęsknił tak za ojczyzną, że wrócił do Francyi pod przybranem nazwiskiem Dumont'a.

W tym czasie wybuchła już była wojna pruska i nikomu nie wolno było bez paszportu wkraczać w granice Francyi. Mniemany Dumont nie miał żadnych papierów, to też przetrzymano go w więzieniu śledczem przez cały miesiąc. Po trzydziestu dniach, gdy się przekonano, iż rzekomy Dumont „wprowadza w błąd władze", ogłoszono mu wyrok skazujący go na jakąś tam karę. Kiedy Flourens usłyszał, że skazują go w imieniu rzeczypospolitej, tj. gdy się dowiedział, że cesarstwo upadło, i że jego przyjaciele tworzą rząd, zatelegrafował do Rochefort'a i został przez niego również telegraficznie natychmiast uwolniony.

W dalszym ciągu opowiada Rochefort długo i szeroko o działalności swojej jako członka rządu, następnie o oblężeniu Paryża, komunie i końcu wojny pruskiej. O wszystkich wybitniejszych mężach z owych czasów wyraża się ostro i bezwzględnie, wszędzie plam tylko szuka, przedstawiając tylko siebie w najpochlebniejszych barwach. Zaznacza z naciskiem, że był zawsze bezinteresownym — i tego mu nawet najzaciętsi wrogowie zaprzeczyć nie mogą. Owszem z całą ochotą mu to przyznają.

ROZMAITOŚCI.

Muzyka chińska znajduje się dotąd w bardzo pierwotnym stadyum. Mimo to dla Europejczyka bardzo ciekawem jest zwiedzenie chińskiej hali muzycznej. U wstępu sprzedaje kilka tabliczek, na których wypisane jest nazwisko, miejsce urodzenia i wiek (?) śpiewaczki. W czasie od godziny 6 wieczorem do północy odbywają się dwa koncerty, a wstęp kosztuje 80 kesz (około 15 ct.), a kwota ta sprawnia nadto gościa do pokosztowania tylu filiżanek herbaty, ile tylko zdoła. Nadto podają gościom suszone ziarnka melonu, a w gorące dnie wśród lata takie kawałki flaneli do obcierania potu z czoła, gdyż chustki do nosa dotąd nie są znane Chińczykom. Scena wznosi się na parę stóp ponad posadzkę i otoczona jest żelazną balustradą. Śpiewaczki tworzą zarazem orkiestrę, która zazwyczaj składa się z ośmiu osób grających na następujących instrumentach: dwie na okrągłych gitarach, jedna na gitarze o trzech strunach, dwie na skrzypcach, jedna na flecie, jedna na „jangcinie" (harmonika z drutu miedzianego) i jedna na małym bębenku. Wszystkie te instrumenty starają się przynajmniej grać *unisono*, każdy jednak z członków orkiestry w ten sposób usiłuje się wyróżnić, iż sprawia jak największy hałas. Migdałowookie śpiewaczki pochodzą prawie wyłącznie z prowincyi Kiangsu, zwanej przez Chińczyków „rajem ziemi". Kraj ten cieszy się opinią, iż w nim rodzą się najpiękniejsze Chinki.

Śpiewaczki zdobią swoje włosy bogato kwiatami żywemi lub sztucznemi i sznurami pereł. Ręce obnażone aż do ramienia pokrywają bransoletami ze złota i jaspisu. Twarz cała pokryta jest szminką, a usta czerwoną farbą pomalowane. Brwi uczerniono są węglem. Jak określić wrażenie, jakie sprawia taka kapela damska na uszy Europejczyka? Jeżeli trudno jest scharakteryzować chińską muzykę instrumentalną, to już prawie niemożliwem jest opisać śpiew chiński. Chinki przedewszystkiem śpiewają tylko głosem fistułowym. Nie potrzeba dodawać, że dla Europejczyka miauczenie kotów jest przyjemniejszem, aniżeli podobny sposób śpiewania. Nadto tony zdają się wychodzić z nosa. Razem wziąwszy, taka chińska balada przypomina serenadę, jaką nieraz psy wiejskie księżycowi wyprawiają. Muzyka taka jednak zachwyca Chińczyków i śpiewaczki robią znakomite interesa, chociaż właściciel hali muzycznej nic im nie płaci, a otrzymują one tylko od tych gości zapłatę, którzy domagają się wykonania jakiejś ulubionej piosnki.

Afisze. Znakomity feljetonista warszawski p. Bolesław Prus pisze: Kiedy w sali warszawskiego Muzeum przemysłowego otworzono wystawę afiszów, jeden z moich znajomych taką o niej wypowiedział opinię:

— Wystawa afiszów?.. Cóż to znowu za blaga!... Afisz, jest to wabik, który mówi nam: co jest do zobaczenia: jak szpajsetel, mówi: co jest do zjedzenia? Ale urządzać wystawę afiszów i zwabiać ludzi, ażeby na nie przypatrywali, jest to samo, co — zaprosić kogo na obiad ze... szpajsetelem. Szpajsetel nie jest potrawą, ani afisz nie jest widowiskiem i dla tego — na wystawę afiszów nie pójdę. Szkoda pieniędzy.

— Mały wydatek — rzekłem — złotówkę za wejście.

— Choćby mi nawet dopłacili złotówkę, jeszcze nie pójdę!... — zawołał.

Nie było rady, więc umilkłem i sam poszedłem. Jeżeli ktoś wierzy w taką teoryę, że afisz jest to szpajsetel i że nie zasługuje ani jedno szpajsetelów, ani urządzać widowisk z afiszów, to ma racyę, że nie idzie na wystawę. Lecz mogą być inne teorye. Wiadomo, że istotną częścią kwiatu są pręciki i słupki, zazwyczaj małe i brzydkie. Zaś płatki korony kwiatowej, jaśniejące najpiękniejszemi barwami, są to tylko wabiki, za pomocą których roślina zwabia do siebie przelatujące owady, ażeby one zbliżyły pręciki do słupków i umożliwiły zawiązanie się owocu.

Otóż pewne instytucye społeczne można uważać za kwiaty, widzów za pszczoły i motyle a afisze — za płatki korony owych kwiatów, które zwabiają do instytucyi publiczność, ażeby tam zostawiała pieniądze. Dla natury — płatki korony kwiatowej są rzeczą podrzędną; tak samo jak afisz jest czemś podrzędnem wobec instytucyi, którą ogłasza. Jeżeli jednak oglądamy wystawy kwiatów (czytaj: płatów korony), to dlaczego nie mielibyśmy obejrzeć wystawy afiszów?

Przedewszystkiem owe „afisze", które oglądaliśmy, nie są to bynajmniej czarne druki, odbite na białym papierze. Afisze są raczej obrazami, które pokazują nam: jak wygląda dziecko, karmione mączką Nestla? jak wygląda widowisko cyrkowe? w jaki sposób używano „kupca brylantów" w powieści tego nazwiska? jakie zabawki posiada „Louvre" na kolędę dla grzecznych dziatek itd.?

Była to więc galerya obrazów barwnych, fantastycznych, niekiedy ładnych. Między zebranemi afiszami trafiały się przemysłowe, np. o mydle Pearce'a. Przeważnie jednak za pomocą afiszów zwracają na siebie uwagę: cyrki, teatry, tancbudy, a dalej — widowiska dobroczynne, dzienniki drukujące sensacyjne romanse... Słowem — im jaskrawszy afisz, tem mniej pożytku przynosi reklamowana instytucya. Każdy cyrk, każde muzeum figur woskowych reklamuje się za pomocą sążnistych i krzyczących obrazów; a tymczasem banki, w których leżą pieniądze, prawie że nie używają afiszów.

Na wystawie znajdowały się przeważnie afisze angielskie, francuskie i nasze. Nasze są to po większej części ogłoszenia, drukowane złotemi lub srebrnemi literami na tle rozmaitych barw. Ogłoszenia obrazkowe opiewają najczęściej o jakichś gmachach, a figury, przedstawione tam, mają ładne twarze i bardzo kolorową odzież, ale wyglądają jak lalki, niewiadomo dlaczego tu właśnie ustawione.

Afisze angielskie cechują się dużemi rozmiarami, kolorami ciemnemi i matowemi i wielką liczbą figur. Wszyscy aktorowie afiszowych scen są ubrani od stóp do głów, odznaczają się zdrowiem, siłą, olbrzymią budową i spokojem. Matka spokojnie karmi dziecko, myśliwiec spokojnie zabija lisa; królowa Wiktorya spokojnie przyjmuje [illegible] Buffalo Bill, a kilka osób spokojnie sprzecza się nad świeżo zamordowanym człowiekiem.

Na afiszach francuskich ukazuje się świat nadzwyczajny. Widzimy rozebrane kobiety, obsypanych mąką błaznów, dzieci z zabawkami, trupy morderców, ścięte głowy, palące się miasta, cyrkówki na koniach... A wszystko to chude, nerwowe, rozhulane, rozpędzone tak, że aż wzbija się po nad ziemię. Cechą dominującą jest ruch, szalony ruch i głównem uczuciem — lubieżność, a główna barwa — krew, paląca się złotym płomieniem. Wśród tej orgii pajaców, kokot, sutenerów i morderców od czasu do czasu widać... parę kobiet, z których jedna płacze, a druga tuli ją do piersi... Jest to afisz wzywający na widowisko dobroczynne, na poratowanie jakichś powodzian, pogorzelców albo ofiar, trzęsienia ziemi. Oto jest Francya: rozpustna, zdenerwowana, a jednak pełna szlachetności i poezyi!.. A Niemcy? Widziałem tylko jeden afisz niemiecki: zaproszenie na wystawę berlińską. Oto jego treść: Ziemia drży, pęka i otwiera się krater a z niego — zamiast ognistej lawy, wysuwa się — olbrzymia ręka, uzbrojona potężnym młotem. Ma to być uprzejme powitanie cudzoziemców przez niemiecki przemysł; wygląda zaś jak groźba, wymierzona przeciw całemu światu.

Opuszczając wystawę, powiedziałem sobie, żem nie zmarnował czasu. Od tej też pory będę ze czcią oglądał wszelkie zbiory, choćby to była wystawa szpilek, choćby wykałaczek do zębów.

Dziwa wiosny. Śniegi spadły w ubiegłą sobotę w Królestwie Polskiem i pokryły grubą warstwą pola i ogrody. W wielu okolicach ucierpiały skutkiem tego znacznie zasiewy.

Spór Coquelin'a z Komedyą. Od roku ciągnie się ciekawa sprawa znakomitego aktora Coquelin'a starszego, z Komedyi francuskiej. Onegdaj nowy akt jej przybył. Regulamin Komedyi, zatwierdzony jeszcze przez Napoleona I. i jeszcze w Moskwie, tak zwany *Décret de Moscou*, do dziś obowiązujący, zabrania emerytom wysłużonym Komedyi grywać na jakiejkolwiek scenie paryskiej bez pozwolenia ministra. Coquelin pokłócił się z Komedyą i założył sobie własny teatr. Komedya wytoczyła mu proces. Pomimo świetnej obrony Waldeck-Rousseau, Coquelin przegrał sprawę; zabroniono mu też grać pod karą pięciuset franków za każde przedstawienie. Coquelin zaapelował. I oto przegrał znowu. I jeszcze tym razem sąd mu zabronił grać nawej na prowincyi. Pozostaje mu już teraz tylko Algier, Tonkin i Nowa Kaledonia...

Kawalerowie czarnego orła. Pruski ten order otrzymał od cesarza Wilhelma II. hr Gołuchowski austryacki minister spraw zagranicznych. Od powstania cesarstwa austryackiego i odliczywszy członków domu Habsburskiego nie wielu da się wyliczyć kawalerów czarnego orła w Austryi. Pierwszym w tym szeregu był ks. Ksawery Hohenzollern który jako c. k. generał kawaleryi pod Aspern tak się odznaczył, że dostał indygenat austryacki i wielkie dobra na Węgrzech. Czarnego orła dostał dopiero w r. 1811. Po nim idą po kolei ks. Metternich, hr. Stadion, ks. Schwarcenberg, hr. Zichy de Vasonkoe, ks. Esterhazy, hr. Hardegg, hr. Ficquelmont. hr. Mensdorff, Pouilly, hr. Radecky, ks. Lichtenstein, ks. Feliks Schwarzenberg, hr. Buol Schauenstein, Mitrowitz, Hess, hr. Rechberg, hr. Beust, hr. Andrassy, hr. Karolyi, ks. Thurn und Taxis, hr. Kalnoky, Trauttmannsdorff-Weinsberg, hr. Tisza, hr. Szechenyi, hr. Taaffe, Beck, Windisch-Graetz, a obecnie wraz z hr. Gołuchowskim także hr. Paar.

Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.
Kraków 1. maja.

Bez względu na chwilowe fluktuacye cen, konjunktury zbożowe nie uległy w ostatnim czasie rzeczywistym zmianom i w handlu zbożowym przy słabych obrotach panuje w ogóle usposobienie spokojne. W tych warunkach targ miejscowy większej chęci do kupna nie objawia wcale, a niewielkie transakcye jakie miały miejsce, odbywały się na podstawie cen dotychczasowych.

Płacono pszenicę białą 7·60 do 7·85 zł., czerwoną nową 7·50 do 7·75 zł., żółtą n. 7·45 do 7·75 zł., żyto 6·60 do 6·90 zł., jęczmień browarny 6·— do 6·50 zł., na paszę 5·40 do 5·70 zł., owies 5·90 do 6·30 zł., rzepak 0·— do 0·— zł. Koniczyna czerw. — do — zł., biała — do —. tymotka —·— do —·—, wyka 0·— do 0·— zł. bób 0·— do 0·— zł. Wszystko za 100 kilogramów.
Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

ODOL. Obecnie dostał się do handlu ten przewyborny preparat także w mniejszych flakonach po cenie 60 centów. Fabryka Odolu wprowadziła owe małe flakony w tym celu, aby ludziom co nie mają ochoty zaryzykować całego złotego na próbę, dać tanią sposobność przekonania się osobiście o zachwalanych skutkach Odolu.